TYGODNIK
POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 21. *Chicago, Ills., 18 Listopada, 1886 r.* Rok III.

DAMIAN RUSZCZYC

POWIEŚĆ

— Z —

CZASÓW JANA III.

— PRZEZ —

FRYDERYKA hr. SKARBKA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XIX.

Pozna, że szczęście i chwała
W nadziei tylko istniała.

Brodziński.

Zapowiedziany wyjazd Woty do Grodna nastąpił w samej istocie nazajutrz po widzeniu się jego z Ruszczycem. Od dawna już niecierpliwie oczekiwał na sposobność dopełnienia poruczonych sobie zleceń względem naszego bohatera, ażeby mógł pospieszyć do ważniejszych czynności, do jakich mu rozpocząć się mający sejm grodzieński pole otwierał. Właśnie w samą porę przybył do Grodna: dwór cały był w największem poruszeniu. Król zmartwiony, zajęty łagodzeniem umysłów i zjednaniem sobie stronników między najmożniejszymi panami, którzyby czoło Sapiehom stawić mogli; a królo-

wa rozjątrzona i zemstą tchnąca o zniewagę księciu Jakóbowi świeżo wyrządzoną, przez to, że sejmujące stany nie chciały mu dozwolić zajęcia miejsca na publicznych obradach obok króla.

Rozkazy były dane, ażeby za przybyciem oczekiwanego Woty natychmiast go do królowej przywołano. Ta wiadomość uradowała go niezmiernie; gdy mu ją oświadczono, zaiskrzyły się oczy chciwą chęcią działania i rumieniec osiadł na zwiędłych licach, przez nadzieję znaczenia i intrygi wzniecony.

Gdy się stawił przed królową, zastał ją siedzącą w krześle, słuchającą z wyrazem niecierpliwości sprawy przez jednego z dworzan sobie zdawanej. Pani de Feud'herbe stała za stołkiem i pilnie śledziła każde jej poruszenie, aby uprzedzić wszelkie jej życzenia. Gdy oznajmiono Wotę, osiadł na ustach królowej tryumfujący uśmiech, obróciła się ku ochmistrzyni dworu, i skłaniając lekko głowę, spojrzała na nię z tym wyrazem, który większą pewność wykonania mianych zamiarów maluje; poczem dała znak dworzaninowi oddalenia się, a ten wychodząc wpuścił do pokoju Wotę, który w drzwiach jeszcze z nizkim bardzo ukłonem przepraszał uniżenie królowę, że śmie w podróżnym ubiorze stanąć przed nią.

Królowa powitawszy go uprzejmie, zaczęła mu czynić wyrzuty o spóźnienie przyjazdu swego.

— Nie można było prędzej — rzekł Wota, i przy tem obejrzał się ostrożnie na wszystkie strony. — Uzyskanie wyroku i wstrzymanie wszelkich zabiegów z jego strony czynionych, potrzebowało czasu. Ale za to mogę ręczyć, że wszystko jak najlepiej idzie i w tym momencie nasz brygadyer bez wątpienia do wieży przeniósł swoje mieszkanie, ufny w łasce królewskiej, do której się niniejszym listem odwołuje.

To mówiąc, podał królowej wiadomy list Ruszczyca, który ona nie czytając, do palącego się na kominku ognia wrzuciła. Poczem rzekła:

— Mniejsza o brygadyera; dobrze kiedy jest pod zamknięciem, ale to interes bardzo małej wagi w porównaniu z tym, który mnie teraz zajmuje, smuci i gniewa. Znieważono syna mojego. Królewicza, następcy tronu, nie chce harda szlachta widzieć obok ojca na obradach publicznych, i to w jakiej chwili jeszcze! wtedy, kiedy się ma żenić, kiedy go wysyłam do Berlina, ażeby się starał o rękę księżnej z Radziwiłłów Brandeburskiej.

— Czyż być może! — zawołał Wota — to zdarzenie może szkodzić dalszym zamiarom księcia, odstręczyć bogatą księżniczkę z powodu, że miłości narodu nie posiada.

— Czuję ja to dobrze — odpowiedziała żywo królowa — i nie wiem, co mam czynić.

— Czy zamiar wysłania księcia do Berlina — zapytał po chwili namysłu Wota — jest już publicznie wiadomy?

— Nie, prócz nas i familii nikt więcej na dworze i słowa o nim nie wie i wiedzieć nie powinien.

— To dobrze — odpowiedział Wota — trzeba jak największą tajemnicę o tem wszystkiem zachować, bo gdyby się cośkolwiek wyjawić miało, więcejby się może jeszcze niechętnych i szkodzić chcących znalazło. Możeby dobrze było udać obojętność względem uchybienia królewiczowi, bo tym sposobem wszystko się zatrze i zapomni, nim on podróż swoję przedsięweźmie.

— Obojętność! — zawołała z gniewem królowa, zrywając się z miejsca — chybabym nie była matką i królową, gdybym podobną obrazę z zimną krwią znosić miała.

— A zapewne — rzekł odskakując na bok Wota — przecież można obmyślić sposób pomszczenia się zniewagi; ale zawsze trzeba to zrobić tak potajemnie, ażeby się nawet nie domyślono, że od Waszej Królewskiej Mości zamach pochodzi, i że jest poszukiwaniem za uchybienie królewiczowi.

— A to dla czego? — zapytała żywo królowa.

— Ha — odpowiedział, przedłużając ten wyraz Wota i podnosząc nieco ramion do góry — Wasza Królewska Mość czujesz to dobrze, że należy ile możności zataić przed światem, iż cośkolwiek nieprzyjemnego między królewiczem a narodem zaszło; bo gdyby się to miało donieść do Berlina....

— Jakże się coś podobnego ma utaić? — zapytała dalej królowa — życzenie nasze jest wszystkim wiadome, opór był równie jawny, a gdy się obrady sejmowe rozpoczną, każden pozna, że szlachta na swojem postawiła.

— Więc niech się nie rozpoczną — rzekł Wota z przyciskiem, i z pewnym wyrazem uciechy z dobrej myśli, którą właśnie podawał.

— Jakto, niech się nie rozpoczną? — zapytała królowa — a to dla czego i jakim sposobem?

— Dla czego? — rzekł Wota — skoro nie będzie obrad sejmowych, nie wyjdzie to na jaw, że szlachta na swojem postawiła. Jakim sposobem? cóż łatwiejszego, jak sejm w Polsce zerwać?

— Dobrze mówisz, — zawołała uradowana królowa — jakżeś też w porę przybył! jak zbawienna twoja rada! Dobrze, sejm będzie zerwany nim jeszcze Izba marszałka dostanie.

Taki był skutek narady z nowo przybyłym doradzcą. Umyślono na niej zająć się niezwłocznie wykonaniem dwóch postanowień bez wiedzy tych, których to najmocniej obchodziło: to jest, zerwać sejm pomimo woli i wiedzy królewskiej i rozporządzić ręką księcia Jakóba bez jego wiadomości, a tem bardziej bez wiedzy Maryi, która się właśnie takiego wypadku wcale nie spodziewała.

Królowa działając tajemnie w tym dwoistym przedmiocie, oczekiwała już tylko powrotu wysłanego dawno agenta do Berlina, który miał przywieźć wiadomość, czy był czas sposobny do tego, ażeby królewicza wysłać do tej stolicy. Gdy tenże z pomyślnemi nowinami przybył, oznajmiła synowi postanowienie rodzicielskie, i pod tajemnicą tę radosną udzieliła mu wiadomość, że księżna wdowa brandeburska na przyjazd jego i na staranie się o rękę swoję zezwala.

W tym dniu właśnie, kiedy się to działo, była Marya najweselsza, a bez żadnego przeczucia zgryzot, jakie na nię czekały, chciała dzielić z kilkoma towarzyszkami swemi wesołość, którą była ożywiona, i poszła z niemi na przechadzkę nad brzeg Niemna, ażeby świeżem powietrzem wolniej oddychać. Po długiej zabawie z dziecinną rozkoszą dzielonej, wracała z towarzyszkami do domu. Już blizko były miasta, gdy usłyszały za sobą tętent konia i zelżywe wyrazy jeźdźca, który znużone zwierzę do wydobycia sił ostatnich znaglał. Na ten hałas zatrzymały się, zeszły na bok z drogi, a jeździec mijając je, przerwał na chwilę krzyk i popędza konia, żeby zdjąć przed niemi czapkę i po chrześciańsku je pozdrowić. Znużony koń korzystał z przerwy ztąd wynikłej, stanął z mocnem, jak się zdawało, przedsięwzięciem niepostąpienia i krokiem dalej, zwłaszcza, że drżenie nóg, mocne robienie bokami i opuszczenie głowy okazywało wycieńczenie wszelkich sił jego. Rozgniewany jeździec ponowił już teraz bezskuteczne razy i najdobitniejszych wyrazów złości dobierał.

— Ach! na miłość Bozką — rzekła litością zdjęta Marya — nie katujcież tak tego konia, wszakżeście już prawie ducha z niego wypędzili.

— A niechże zdycha — zawołał jeździec — ja mało dbam o to, czy go tu lub gdzieindziej wilki zjedzą, byleby jak najprędzej stanął, gdzie mi potrzeba.

— Jeżeli dalszą jeszcze macie drogę przed sobą, — rzekła jedna z towarzyszek Maryi — to podobno piechotą pójdziecie, bo koń ten już dalej nie postąpi.

— A to zostańże tutaj, bestyo — rzekł zsiadając z konia jeździec — kiedy nie chcesz tak wiernie jak ja twojemu panu służyć. Za pozwoleniem, moje Panie, — dodał obracając się do Maryi — kędy ja tu pójdę do króla? na której ulicy on mieszka? gdzie się o niego dopytam?

— I to wy się do króla tak spieszycie — odpowiedziała z uśmiechem Marya — a czegóż wy od niego chcecie?

— Czego chcę? — odparł żywo nieznajomy — długoby to było o tem gadać, a ja nie mam czasu do stracenia i muszę iść dalej, a Państwo kiedy się ulitowało nad moją szkapą, to dajcie baczenie na niego jak się tu będzie pasł na trawie, ja niedługo powrócę.

— Niedługo powrócicie? — zapytała Marya — a chcecie się z królem widzieć?

— Czemu nie? — odpowiedział jeździec — król jest sprawiedliwy i dobry, bo mój pan tak zawsze o nim mówił; kocha mego pana i mój pan go kocha; będę mu się od niego kłaniał, powiem o co mi chodzi. Ale czegóż ja próżno gadam, nie zabawiajcie mnie Panie.

— Nie, mój bracie — rzekła łagodnie Marya — my was próżno nie chcemy zabawiać, my możemy wam być pomocne w tem, ażebyście widzieli króla, bo to nie tak łatwo.

— Ej zaś! — odpowiedział jeździec — albo go ja to raz widział, kiedy pod Wiedniem przejeżdżał nasze szeregi, i kiedy wespół z naszą chorągwią ruszał naprzód przeciw Bisurmanom.

— Dobry człowiecze — zawołała żywo Marya — toście wy byli pod Wiedniem?

— Ej co tam z Wiedniem — rzekł nieznajomy — kiedy mnie do Grodna pilno. No, albo mi pokażecie panie drogę do króla, albo nie.

— Jak najchętniej, — odpowiedziała Marya — tylko dajcie się przekonać, że tutaj tak łatwo króla widzieć nie będziecie; bo to co innego na wojnie, widzicie, a co innego teraz i podczas pokoju; my to lepiej wiemy od was, bo my wszystkie jesteśmy od dworu królewskiego.

— Od królewskiego dworu! — powtórzył z zadziwieniem nieznajomy, zdjął czapkę z uszanowaniem i mówił z wyrazem politowanie wzbudzającym — kiedyście wy tak możne Panie, zmiłujcie się nad biednym człowiekiem, który za pana swego w piekłoby poszedł, za pana dobrego, którego osadzili w wieży niewiada za co; dla którego każda godzina jest ciężką, bo w strapieniu spędzona. Zmiłujcie się nademną, poprowadźcie mnie do króla, bo on każe wypuścić mego pana.

— A któż jest waszym panem? — zapytała z ulitowaniem Marya — co wy za jedni?

— Mój pan! — rzekł jeździec — o, wy go znać musicie dobrze: był on zawsze przy królu i królewiczu, był od nich kochany aż dotąd, póki się nie ujął za jakąś niewdzięcznicą, co go nie chciała za męża i za nią Francuza jakiegoś chciał skarcić; wy go znać musicie, jeżeliście ode dworu. To Pan Ruszczyc, brygadyer, a ja jego stary sługa, Kulik.

Na te słowa zbladła Marya; rozweselone jej spojrzenie zaszło ciężkiem strapieniem; wyraz boleści przez wyrzuty sumienia wzbudzony malował się na twarzy; milczała, lecz błagające oko na towarzyszki swoje zwróciła; jak gdyby pomocy i pobłażania od nich żądała. Jedna z nich podała jej tkliwie rękę i rzekła do Kulika:

— Nie obwiniajcie narzeczonej pana waszego o jego nieszczęście, bo ona sama cierpi na tem: patrzcie, jakeście ją tą nowiną zmartwili.

— Jak to? — rzekł Kulik — to to Panna Modrzejowska? Widzęć że się zasmuciła, ale po niewczasie pono: bo gdyby była dbała o pana mojego, toby była już dawno upadła do nóg królowi i powiedziała mu tak: Mości królu! nie dajcie robić krzywdy swemu słudze, a narzeczonemu memu. — Bądźcie zdrowe moje Panie, nie mam ja się czego dobrego po was spodziewać.

— Dobry człowiecze! — zawołała rozżalona Marya, zbliżając się do Kulika i zatrzymując go za rękę — gorzkie i trapiące są wasze wyrzuty, ale nie odmawiajcie mi waszego zaufania, a wkrótce was przekonam, jak mocno mnie los pana waszego obchodzi.

To rzekłszy zwróciła się ku miastu i zdołała wraz z towarzyszkami nakłonić Kulika do tego, iż za niemi poszedł i że im sprawę swoję poruczył.

Wróciwszy do dworu, zajęła się natychmiast obmyśleniem sposobu jak najrychlejszego widzenia się z królem; lecz wielkie w tym spotykała przeszkody, bądźto dla tego, że monarcha był ważnemi bardzo sprawami zajęty, bądź też że dla słabości z pokojów swoich nie wychodził. Przewidując że przez dni kilka nie znajdzie może sposobności zaniesienia prośby do niego, a żywo przejęta chęcią dopomożenia Ruszczycowi, postanowiła użyć pośrednictwa siostry królewskiej i niezwłocznie się do niej w tym zamiarze udać. Książę Jakób był wówczas właśnie u ciotki swojej, a mając myśl zajętą świeżo oświadczonem sobie życzeniem rodziców, rozmawiał z nią o tej, o której rękę miał się starać.

— Szkoda jednak, że jej nie znam — rzekł — bo obok względów majątkowych, któreby mnie do zawarcia tego małżeństwa nakłonić mogły, radbym także, ażeby wdzięki i przymioty serca przywiązanie ku niej wzbudzić mogły.

— Będzie czas na wszystko — odpowiedziała księżna wojewodzina — poznacie się i pokochacie wkrótce, bo księżna brandeburska łączy w sobie zewnętrzne powaby z tem wszystkiem, co twoje szczęście ustalić może. Wszakże ja zawsze byłam za nią. Pamiętasz, iż wówczas kiedy ci odmówiono księżniczki austryackiej, radziłam ci abyś o niej pomyślał. Było to, jeśli się nie mylę, w Wilanowie; ona jeszcze wówczas była panną Radziwiłłówną, ja obstawałam za nią szczególniej dla tego, że prócz wszelkich innych zalet jest Polka; bo rozumiem, że narodowi miłoby było, gdyby przyszły król jego nie miał cudzoziemki za żonę.

— Ale ja mam mało nadziei — odpowie dział książę — ażeby mi się dobrze powiodło,

zwłaszcza gdy wspomnę na zły skutek, jaki miały dawniejsze zabiegi nasze o jej rękę.

— Wtenczas inni działali dla ciebie — rzekła księżna Radziwiłłowa — teraz ty sam o pozyskanie jej serca starać się będziesz; tylko trzeba żebyś okazał tę żywość w uczuciach, na której ci podobno nie dostaje, bo zwykła oziębłość twoja wszystko zepsuć może.

— Zwykła oziębłość moja? — odpowiedział książę Jakób — to niesłuszny prawdziwie zarzut, wszakże jestem zawsze uprzejmy i uprzedzający dla kobiet; a jeżeli mnie żadna stale nie zajęła, pochodzi to ztąd, że na dworze naszym nie widziałem nigdy takiej, którаby mnie godną była. Nie chciałbym bowiem iść w ślady tych królów, którzy poślubili szlachcianki, a potem z tego powodu przykre tylko zatargi z narodem mieli.

— Ja rozumiałam wszelakoż — rzekła z uśmiechem księżna Radziwiłłowa — że była taka szlachcianka, która ciebie kiedyś nieco zajęła.

— Żadna! żadna! — zawołał książę Jakób z pewnym wyrazem dumy. — Rozumiem, do czego się to ma ściągać; ale przemijające upodobanie, skutkiem może samych nudów będące, nie może nigdy być poczytane za prawdziwe uczucie.

Właśnie gdy kończył te słowa, wszedł dworzanin i oznajmił przybycie Maryi. Rozśmiała się głośno księżna Radziwiłłowa, a książę Jakób zabierał się do wyjścia.

— Dla czegóż się chcesz oddalać — rzekła ciotka, jakby z wyraźną chęcią szydzenia z niego — czy to nie śmiesz wystawić się na próbę.

— Jeśli o to chodzi — rzekł książę lekkomyślnie — zostanę, abym okazał, jak dalece mnie niesłusznie posądzano.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

JAN PŁUŻEK.

POWIEŚĆ Z DAWNYCH CZASÓW

NAPISAŁ

MIECZYSŁAW Z POZNANIA.

(Ciąg dalszy.)

Prócz piechoty była i konnica, uzbrojona od stóp do głów. Każdy jeździec nosił na sobie zbroję z cienkiej a mocnej stali lub żelaznej blachy, długą kopię dzierżył w prawym ręku, miecz przy boku. Polska jazda zawsze słynęła z męztwa, a gdzie Polacy natarli, tam wróg musiał pierzchać. Do służby wojskowej nikogo nie zmuszano, lecz kto mógł broń dźwigać szedł z dobrej woli walczyć za ojczyznę, a po skończonej wojnie wszyscy wracali do domu.

Z takiem to wojskiem ruszył Bolesław pod koniec roku 1109 z Krakowa, bo odebrał wiadomość, że Niemcy już wtargnęli w granice Polski. Szczegółowo nie będę opisywał drogi, ja-

ką postępowało tu wojsko polskie; dość, że nim Bolesław przybył nad granicę, niemieckie wojsko część Polski Ślązkiem zwaną, ogniem i mieczem zniszczyło, mianowicie miasto Lubusz, i stanęło pod Bytomiem. Tutaj dopiero pierwszy raz w tej wojnie doznał cesarz większego oporu, a nie chcąc zbyt wiele czasu tracić na zdobywaniu tego miasta, ruszył dalej, przeprawiał się przez Odrę i obległ Głogów, teraz po niemiecku „Glogau" nazwany. Było to dosyć wielkie miasto, obwarowane murem, fosami i wałem. Niestety mury woda jesienią podmyła, zamuliła fosy i wały popsuła. Pomimo to nie ulękli się dzielni Głogowianie i mężnie się bronili przeciw tłumom wojsk niemieckich, w końcu jednakże poczęli słabnąć na duchu i prosili cesarza o pokój, o kilka dni czasu do namysłu. Zgodził się na to cesarz Henryk V, i przyrzekł pięć dni zaczekać, a jeżeli im do tego czasu król Bolesław nie przybędzie na pomoc, mieli dobrowolnie bramy miasta przed Niemcami otworzyć. Na dowód, że ugody tej otrzymają musieli mu Głogowianie wydać własne swe dzieci w zakład. Równocześnie zaś wysłali posłów do Bolesława prosząc o pomoc.

Bolesław obozował o kilka mil w lesie, lecz ponieważ bardzo szczupłe miał wojska, nie śmiał się wyruszyć z lasu i przyjść swoim na odsiecz, by czasem bitwy nie przegrać. Przez to Głogowianom nie dopomógłby, a kraj cały mógłby narazić na nieszczęście. Posłom więc Głogowskim taką dał odpowiedź:

— Pamiętajcie, że jesteście Polakami i miasto wasze jest polskie: wam zatem bronić się należy, pokąd sił starczy. Ja skoro będę mógł, przybędę wam na pomoc. Poddawać miasto w moc nieprzyjaciół Polski, niechaj nikt się nie waży, bo tego uważałbym jako zdrajcę ojczyzny i surowo go ukarzę.

Z tą odpowiedzią wrócili posłowie do Głogowa. Wiedzieli mieszkańcy, że miasta Niemcom oddawać nie można, bo jako Polacy ojczyzny zdradzać nie chcieli, i tylko o pomoc prosili Bolesława. Teraz zatem gdy usłyszeli odpowiedź swego króla, postanowili raczej zginąć niż się poddać nieprzyjacielowi. Co żywiej rzucili się wszyscy: niewiasty, mężczyzny, starcy i dzieci do naprawy murów i wałów, a tak nim minął piąty dzień zawieszenia broni z cesarzem, mury były naprawione. Szóstego dnia cesarz przysłał trębacza żądając kluczy miasta, lecz jakże mu Głogowianie odpowiedzieli, że tylko po ich trupach wnijdzie. Odpowiedź ta godna wolnych synów wolnego narodu, mocno rozgniewała cesarza. Natychmiast każe bębnić do szturmu, i w gmieniu oka zebrały się tłumy niemieckiego wojska. Zatoczono tarany do łamania murów, kusze do rzucania grotów i kamieni, i inną strzelbę, haki itp. Nie dosyć jednakże zdało się cesarzowi zdobyć miasto, chciał on w swoim gniewie Głogowian wytępić, i aby wytrwale broniących się przerazić, kazał dane mu w zakład od mieszczan Głogowskich dzieci, uwiązać na dachach, pod któremi szeregi niemieckie do murów się posuwały; tak aby Głogowianie rzucając kamienie z murów na Niemców, musieli wprzódy pomordować własne dzieci. Cesarz myślał, że Polakom milszemi będą dzieci niż kraj własny; że aby ocalić dzieci poddadzą się, a tem samem zdradzą ojczyznę. Zawiodła go jednak rachuba, bo Głogowianie pomnieli, że nim zostali ojcami, byli Polakami, że ojczyźnie polskiej wszystko: majątek, życie swoje, żony i dzieci poświęcić należy. Gdy chodzi o wolność, o ojczyznę, wtedy wszystko inne, prócz Boga, ustaje. Tak myśleli Głogowianie i dla dobra ojczyzny, dla wolności narodu nie zważali na krew własną, na swe dzieci żałośnie o pomoc wołające. Po dziesięć razy odnawiał cesarz szturm na mury Głogowa, ale zawsze ze stratą musiał się cofać, gdyż Głogowianie przywiedzeni do rozpaczy, ostatnich sił dobywali, by się pomścić krzywd własnych, śmierci dzieci i najazdu ojczyzny. Którzykolwiek z Niemców bądź bliżej pod szańce podstępowali, bądź po drabinach na mury się darli, bito ich kamieniami, walono kłodami okutemi, spychano dardami, polewano smołą i wrzącą wodą. Dumny cesarz straciwszy wiele swoich, ze wstydem musiał odstąpić od oblężenia Głogowa i cofnął się do obozu. Taki przykład męstwa, wierności i miłości ojczyzny dali potomności Głogowianie.

Równocześnie i Bolesław zebrał swe wojsko i wyszedł z lasów za cesarzem. Na równinach niedaleko Głogowa przejrzał Bolesław swoje hufce, poczem znowu całe swe wojsko rozdzielił na kilkadziesiąt drobnych oddziałów, któremi szarpał Niemców, nie wdając się w bitwę wstępną. Podobny to zupełnie sposób prowadzenia wojny, jaki widzieliśmy w ostatniem powstaniu. Nigdzie nie było wielkich bitew, tyl-

ko utarczki; oddziały Bolesława gdzie mogły, trapiły wojska niemieckie, zabierały im żywność, odcinały dowóz. W końcu zgniewany cesarz Henryk pisał do Bolesława przyrzekając, że opuści Polskę, byle mu Bolesław zapisał co rok 300 grzywien srebra. Lecz Bolesław odpowiedział cesarzowi, że raczej woli zginąć z całym narodem na polu sławy, niż zadosyćuczynić życzeniom jego, niż się cieszyć pozorną wolnością.

Prowadzono zatem wojnę dalej. — Bolesław swemi drobnemi hufcami coraz to bliżej się podsuwał ze wszystkich stron, tak że Niemcy z obozu się wychylić nie mogli. Konie z braku paszy im padały, a oni sami głodu się nacierpieli. Żal prawie było patrzeć na to wychudzone, poobdzierane wojsko niemieckie. Przeciwnie wojsko polskie, chociaż nieliczne, dzielnie wyglądało, bo drobnym oddziałom Bolesława łatwiej się było wyżywić i przyodziać.

Przez długi czas w ten sposób Bolesław wojował, aż w końcu gdy głodem i niezgodą niemieckie wojska osłabły na siłach, ścisnął je na polach niedaleko Wrocławia. Tam przyszło do walnej bitwy. Nasz Janek Płużek dzielnie walczył, pokąd sił starczyło, aż wreszcie ranny upadł na ziemię. Towarzysze broni podnieśli rannego, zanieśli do najbliższej chaty, obmyli ranę wodą, obwiązali, a w kilka tygodni Janek już mógł chodzić. Lecz wróćmy się do walczącego Bolesława, który raz rozpocząwszy na dobre, nie prędzej przestał, aż Niemcy, co się odgrażali, że pójdą na Kraków i całą Polskę ujarzmią, których cesarz żądał od Bolesława rocznej daniny, uciekli z granic Polski, zostawiwszy na polu bitwy pod Wrocławiem trupy poległych swoich, gdzie potem zbiegło się z dalekich stron niezmierne mnóstwo psów i wilków, które je zjadały, — i od tego miejsce to, gdzie zaszła stanowcza bitwa między Bolesławem a Niemcami, nazwano „Psie pole".

Zwycięzki Bolesław nie ścigał atoli Niemców, bo Polsce nie chodziło o zawojowanie jakiego kraju, lecz o wyswobodzenie ziemi ojczystej z najazdu. Skoro więc Niemcy Polskę opuścili, Bolesław rozpuścił większą część swego dzielnego wojska. Nasz Janek, wyleczywszy się nie wracał już do wojska, lecz kulejąc na lewą nogę, powlókł się ku domowi.

III.

Powrót Janka i kilka słów o dalszych czynach Bolesława.

Nie będę wam opisywał radości Janka, gdy wracając do domowej zagrody ujrzał z daleka wieżyczkę kościoła, słomiane strzechy białej zagrody, zielone drzewa ogrodu. Wystawcie sobie, moi mili, tę radość jego na widok wioski jego rodzinnej z jednej strony, a z drugiej obawę, czy zastanie przy życiu siwego ojca, żonę i syna, czy Bóg ich zachował przy zdrowiu, osłonił od nieszczęść i nędzy. Sąsiedzi wychodzącemu na wojnę przyrzekli pamiętać o rodzinie, lecz czy przyrzeczenia dotrzymali?

Tak trapiąc się przykremi myślami, a równocześnie ciesząc się najmilszą nadzieją, stanął przed własną chatą. Wierny pies poznał go natychmiast, skoczył mu na piersi i skomląc z radości wbiegł do chaty. Przelękniona Hanusia, żona Janka, pospiesznie wyszła z izby, by zobaczyć, co się stało, iż spokojny pies tak wbiegł, i na samym progu spotkała Janka.

Jasiu! mój Jasiu kochany! — i rzuciła mu się na szyję. Janek wzajemnie całował żonę. Już i stary ojciec wyszedł z komorki, prowadząc za rękę wnuczka, małego Stasia. O! w tej chwili ileż było radości w chacie Jankowej. Głowa rodziny wracała do domu; żołnierz oswobodziciel ojczyzny wracał z pola bitwy. Nie dziwujcie się, że wśród tak wielkiej radości, dopiero nieco później spostrzegła Hanusia, że mąż jej kuleje i wybladł.

— Janku tyś chory pewnie, bo takiś blady, mizerny, tyś zmęczony? co tobie w nogę? może ranny jesteś?

— O nie, moja Hanusiu, już jestem zupełnie zdrów, rana przy tobie zupełnie mi się zagoi, za kilka dni ani poznasz, że byłem ranny, lecz powiedzcie, nie zbywało wam tutaj podczas mej niebytności na czem, możeście byli głodni? może... — pytał Janek, a Hanusia mu przerwała:

— Dobry Michał i inni sąsiedzi pamiętali o nas jak mogli, pracowali za nas mówiąc, że ty za nich walczysz, więc oni za ciebie pracować powinni.

Właśnie tych słów domawiała Hanusia gdy

weszło do izby dwóch sąsiadów najbliższych, by przywitać powracającego wojaka. Zkąd się dowiedzieli o powrocie Janka nie wiem, gdyż ze wsi nikt Janka nie widział; może przeczucie ich wiodło. W kilka chwil wszyscy mieszkańcy Cieplin zbiegli się do chaty Jankowej, tak że się zaledwie pomieścili, a Janek im wszystko dokładnie opowiadał, począwszy od owej rozmowy z królem, aż do chwili gdy został rannym. Wypytywali się go o towarzyszy, lecz wiele o nich nie wiedział, prócz o Wojciechu, młodszym bracie sąsiada Michała. Biedny zginął wśród bitwy, broniąc ziemi ojczystej, padł tuż przy boku Janka, który się pomścił śmierci Wojciecha.

Późno w noc trwała gawęda w chacie Jankowej, wszyscy się cieszyli ze szczęśliwego powrotu obrońcy, z oswobodzenia kraju; stary ojciec Janka płakał z radości, a maleńki Stasio nie mógł tatka dosyć nacałować i naściskać.

Radość wszystkich powiększyła się jeszcze, gdy w kilka dni później wrócili towarzysze Janka. Walczyli oni do końca wojny, i dopiero gdy Bolesław nieprzyjaciela zupełnie z Polski wypłoszył a wojska swoje rozpuścił, wrócili do domów rodzinnych. Przywieźli ze sobą ładne podarunki, gdyż Bolesław rozpuszczając swych wojowników, każdego hojnie obdarzył. Janek tylko, ponieważ jako ranny nagle opuścił szeregi i nie był do końca wojny, nic z sobą nie przywiózł, prócz błogosławieństwa Bozkiego. Zapomniał o nim Bolesław, lecz może sobie później kiedy przypomni o dzielnym żołnierzu. Polska bowiem zawsze swych wojowników hojnie nagradzała. Zresztą gdzie chodzi o wolność ojczyzny, tam nie można myśleć o nagrodzie, gdyż najpiękniejszą nagrodą dla każdego człowieka jest wolność ojczyzny. Wolność całego narodu, wdzięczność wszystkich mieszkańców, błogosławieństwo nieba jest wyższą niż pieniądze nagrodą dla dzielnego żołnierza. Krwi własnej nikt nie przelewa za pieniądze, ale za ojczyznę, za wolność — a odebrana w walce za ojczyznę rana, jest zaszczytniejszą niż wszystkie ordery.

Opuściwszy na chwilę wioskę radującą się ze szczęśliwego powrotu wojaków, zobaczmy co robi Bolesław, co się dzieje w Polsce po ukończonej wojnie niemieckiej.

Dzielny Bolesław chcąc zasłonić kraj cały od przyszłych napadów niemieckich, postanowił teraz jako zwycięzca zawrzeć pokój z cesarzem. Zjechali się obydwaj monarchowie z licznym pocztem rycerzy w Bambergu roku 1110, a tam zawarto układ, na pomocy którego wróciły do Polski kraje aż po rzekę Elbe, które dawniej Niemcy zabrali. Aby zaś ugodę tem trwalszą uczynić, poślubił owdowiały przed dwoma laty Bolesław Salomeę hrabiankę Bergen, a sześcioletniego królewicza Władysława zaręczył z Agnieszką austryacką. Tak zakończyła się najsławniejsza z wojen Bolesława Krzywoustego; następne, bo ich jeszczce dosyć prowadził, mniejsze mają znaczenie. Bił się zaś Bolesław z Czechami, by pogodzić zwaśnionych książąt czeskich, by ład między nimi zaprowadzić. Następnie wojował z Prusakami, których znowu Zbigniew na Polskę podżegał, lecz wszystkich nieprzyjaciół pokonał oręż dzielnego Bolesława.

Zbigniew widząc, że przemocą nic w Polsce nie uzyska, udał pokornego i przyrzekł się poprawić, byle mu Bolesław dawne winy darował. Dobry Bolesław chętnie się na to zgodził, i przyrzekł o wszystkiem zapomnieć. Serdecznie uściskał wracającego brata, atoli dumny Zbigniew zapomniał o przyrzeczeniu, począł się odgrażać i nowe knuć spiski. . Gniewało to Bolesława, bolało go, że Polsce, że ojczyźnie ciągłe spiskowanie Zbigniewa szkodę przynosi, i raz miał podobno w gniewie wymówić:

— Lepiej, żeby już raz Zbigniewa nie było. Usłyszeli te słowa dworzanie, a że dumnego Zbigniewa nienawidzili, teraz korzystając z nierozważnie wymówionych słów Bolesława, spieszą do pokojów Zbigniewa, chwytają go, wyłupują mu oczy i zabijają.

Stósownie ukarał Bolesław morderców brata, sam zaś z żalu przyodział włosiennicę i jakby za pokutę za nierozważnie wymówione słowa, odbył w kilka lat później pielgrzymkę do grobu świętego Idziego we Francyi i pieszo do grobu św. Stefana we Włoszech, modląc się o przebaczenie. Bóg mu też niezawodnie darował popędliwość, bo na prawdę nie chciał śmierci brata.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

GAWĘDZIARZ.

CYGANKA.

Gdzieś tam daleko od nas kwitną pomarańcze, grusze i śliwy; a u nas w tym samym czasie kwitnie zamróz kryształowemi kwiaty na oknach biednego wieśniaka. Czy wy wiecie co to jest głód? — którym nigdy niezabrakło chleba. Czy wy wiecie co to jest zimno? — którym nigdy nie zabrakło kożucha. Ulubieńcy losu! dzieci fortuny! wy jednak nie jesteście szczęśliwymi; bo wy nie znacie całej pełni życia, a w człowieku najpiękniejsze rozwijają się uczucia w nieszczęściu i biedzie!

O błogosławmy Boga! bo on jest najpierszym Ojcem i wtedy nawet — kiedy nam się zdaje, że odwrócił od nas swoje oblicze, a nas zostawił na pastwę przypadkowi, jak łódź wśród burzy wiatrom morskim. On wtedy czuwa nad nami — widzi i rachuje wszystko, a złe i dobre zarówno sprawiedliwie zapisuje.

Księżyc się wyniósł do góry, a gwiazdy jakby złote iskry rozsypały się po niebie; śnieg zmarznięty okrywał wszędzie ziemię — błyszcząc tysiącami drobnych światełek, które na nim zwierciadliły promienie księżyca. Noc była widna jakby dzień, a ostry północny wiatr nielitościwie świszczał po kominach i niósł jak płochy swawolnik z sobą kłęby kurzawy z drobnego śniegu; a jeśli tylko napotkał najmniejszą szparkę w oknie, najmniejszą szczelinę we drzwiach, to natychmiast przez nię nasypał śnieżnej mąki. Po polu lis tylko się włóczył myszkując, a wilczysko śmiało podchodziło do wsi, w której nawet psy się pochowały po dziurach.

Już może była godzina czwarta z rana, ale noc nie myślała jeszcze ustąpić, tu i owdzie zabłyszczało światło przez zamarznięte szyby w chałupach; jaki taki wstał, to urznąć sieczki dla dobytku, to sporządzić jakiś statek, albo też baba zasiadłszy na kominie, obierała kartofle na śniadanie, bo to na krótkim dniu tylko nie wstać do dnia, to jak biczem trzasnął zleci.

I u Wojtka Goryczki także zabłyszczało na kominie parę smolnych szczyp, a kiedy płomień ich oświecił chałupę, dostrzedz można było nędzę w całem znaczeniu; kilka lichych obrazków wisiało tylko na ścianie; w jednym kącie izby na lichym barłogu łóżka spało troje dzieci, od których znać dopiero wstała matka, na ławie pod piecem okryty starą sukmaną, nierozebrany spał sam gospodarz. — Pułap w chałupie już się prawie zawalił, a przez szpary w oknach i drzwiach naleciało dosyć śniegu. — Wojtek był kiedyś zamożnym gospodarzem, ale jak pan wypuścił dobra w dzierżawę — a dzierżawca zaczął męczyć rozmaitemi sposobami, to dużo ludzi poupadało z kretesem, a pomiędzy niemi i on, chociaż nie był ani pijakiem, ani żadnym ladaco. — Owszem Wojtka nie potrzeba było pilnować przy robocie, a swojej pracy pewno się nie powstydził przed nikim, to też zacny chłop czuł swoją godność i nie dał sobie ani słowa brzdąknąć nad głową ani karbowemu, ani ekonomowi, ani nawet samemu dzierżawcy.

Wszyscy go też nazywali zuchwałym chłopem i powszechnie nie lubili, ale Wojtek mało dbał o to, pracował jak wół, kochał Boga z całego serca, i chociaż nieraz widział jak ekonom, ba albo sam nawet dzierżawca przez złość wybierał mu najgorsze roboty; wysyłał go w dalekie drogi ze zbożem, kiedy było największe błoto albo roztopy, on ani słowa nie mruknął, ani jedną prośbą się nie uchylił, kiwnął tylko głową, czapkę nasunął na uszy i robił co mu kazali — tym sposobem podupadł ogromnie nieborak, jednak ani razu nie poszedł z prośbą do dzierżawcy, a kiedy żona go wypędzała, to tylko mówił:

— Już ja się tam nikomu kłaniać nie będę, gnębi mnie, bierz go kaduk; jest ktoś nad nami, co widzi jak ja robię i jak on płaci — On nas rozsądzi.

I nigdy ani sam poszedł po co nie wołany do dworu, ani żonie nie pozwolił się udać, mówiąc:

— Póki nasi starzy byli panowie, co to nasi Ojcowie służyli ich Ojcom, to miło człowiekowi było iść do dworu, bo cię przyjęli jak dziecko, to też szło się jak do swoich rodziców; po Bogu to oni najprzód poratowali na ziemi, ale kiedy nam nie stało starych panów, a nad nami włada jakiś tam ekonomowicz i obdziera ze skóry, to już nie jego doczekanie, ażebyśmy byli dla niego tacy jak przed laty. Serca nie przymusi ani nie kupi.

(Dalszy ciąg nastąpi).



Anioł Pański.

POWIEŚĆ OBYCZAJOWA

— PRZEZ —

BAKAŁARZA Z LWIGRODU.

(Ciąg dalszy.)

— Panie Kazimierzu, wierz mi; uznaję, to, że serce sercem, życie tylko życiem płacić się może. Daruj kochany panie Kazimierzu, daruj memu ojcu, — wszak on czyni tak jak rozumie; za to bądź pewien dozgonnej wdzięczności z mojej i z matki mojej strony. Powiedz, czego sobie życzysz, rozkazuj, a wszystko dla ciebie uczynię.

— Zawstydzasz mnie, łaskawa pani; nie wspominaj wcale o wypadku, co wtrącił mnie w tę chorobę; każdy z moich rodaków byłby uczynił to samo w mojem miejscu. Raczej pozwól mi podziękować sobie za twą niewymowną dobroć i troskliwość. Jeżeli mi wolno cię prosić, panno Wilhelmino, tedy zechciej łaskawie odesłać te sto talarów do księdza Marka, i poprosić go listownie, aby je posłał mojej matce. Wszak to wkrótce jej imieniny! Mój Boże! zwykle sam pisałem do niej, dziś ręka nie usłucha — zwykle jakie przesyłałem upominki, dziś tylko martwy pieniądz posłać jej mogę. Niech ją ksiądz Marek pozdrowi, niech jej powie, żem tak zajęty iż pisać do niej sam nie mogę; ale skoro mi czas pozwoli, sam napiszę, i za opieszałość przeproszę serdecznie. Tylko o moim przypadku i chorobie niech jej nie wspomina! Czyż nie gniewasz się, pani, że ją tem śmiem obarczać?

— Bynajmniej! — odrzekła, — owszem wypełnię wszystko, wszystko czego tylko zażądasz. Czy mamy prosić o odpowiedź rychłą, może i o pokwitowanie z odebranych pieniędzy?

— O tak, niech matka kilka słów odpisze; będą one mi wielką pociechą!

Czwarty już tydzień ciężkiej choroby zbliżał się do końca. Kazimierz wstawał już chwilami z łóżka, robił kilka kroków po pokoju, — siadywał dłużej na kanapie, słowem wylizywał się, jak to mówią, na dobre. Jadł przytem dużo i dobrze, dzięki zabiegom troskliwej pani Sztolce, która wszystkich drukowanych i pisanych kuchmistrzów i zawołanych kucharek, nawet sąsiadek się radziła, aby przez język i podniebienie działać na żołądek i ogólne zdrowie swego pacyenta. A że każdą nieomal potrawę przynosiły i podawały przyjazne ręce panny Wilhelminy, słodził jej uśmiech, wejrzenie i zachęta, więc Kazimierz jadał za dwóch a trawił za czterech, i z niecierpliwością od godziny do godziny wyglądał swej karmicielki, jak dla niej samej, tak i dla tego co zwykle z sobą przynosiła.

Właśnie otworzyły się drzwi, i panna Wilhelmina weszła z pełną tacą. Były tam i rosół, i sztuka mięsa z chrzanem, (bo panna Wilhelmina uczyła się polskiej kuchni) i pieczeń huzarska z kapustą, i jakieś leguminy i nieodstępna towarzyszka każdego w Niemczech obiadu, heringssalata, tj. sałata z kartofli krajanych, śledzia i cebuli. Pan Kazimierz zmiótł do czysta, nawet i sałatkę dla przyjemności panny Wilhelminy, podziękował jej uprzejmie pocałowaniem w rękę, a ta rzekła:

— Za to, żeś pan był tak posłuszny, dam panu na przekąskę liścik, zapewne będzie od matki.

Kazimierz zerwał się z kanapy, ale dziewczyna zawołała odskakując:

— Oho, nie tak prędko! jakiż z pana łakomiec! dam dopiero pod warunkiem....

— Pod jakimże? dobra panno Wilhelmino! niech słyszę!

— Przyrzekasz, że wypełnisz?

-- Przyrzekam.

— Na verbum nobile, jak u was mówią? Oto musisz mi go przetłómaczyć od deski do deski!

— O chętnie! jak najchętniej! ale jakże pani nie mają nudzić źle napisane i wiejskie nowiny od mojej prostaczej rodziny?

— Nie, panie Kazimierzu, nic co się ciebie tyczy nie jest dla mnie obojętnem. O jakżebym była szczęśliwą, gdybym tę wiejską twoją rodzinę poznać mogła!

Po tych słowach podała Kazimierzowi list; poznał rękę matki, ucałował go czule i to wyczytał:

Kochany Synu!

Juścibym była wolała, byś mi był własną ręką napisał życzenie na moje imieniny, — ale kiedy Pan Bóg chciał, żeś tak był bardzo zajęty, to stała się jego wola święta. Serce moje nienasycone, — ty wiesz, mój Kazimierzu, jak mi Cię tu brak doma, to choć listek od Ciebie rozwesela mi smutną duszę. Ale zkąd ty masz tyle pieniędzy? Ej, dziecko moje, pilnuj się, — choć wierzę, że uczciwie nabyte. — Mój Boże, nie dość, że my nie możemy Ci nic posłać, ale jeszcze od Ciebie bierzemy! Dopiero niedawno sto, jużci znowu sto talarów, a i ojcu jeszcze przysłałeś tyle upominków! Ale, ale, te podarunki zanadto pańskie, my się tu na tem nie znamy. Dziękuję Ci, dobre dziecko! Szanuj pryncypała Twojego! — módl się, bądź wierny, pracowity i posłuszny, a duszy mi nie zatrać, bobyś mi wziął życie. Niech cię tam ma w opiece swej Pan Jezus i Matka Bozka Częstochowska!

Twoja matka
Zofia.

Kazimierz miał łzy w oczach; ale własnym oczom nie wierzył, — zgoła nie rozumiał listu. Tym ciekawiej więc przebiegał przypisek od siostry. Panna Wilhelmina siedziała tymczasem jak na węglach. Siostra tak do niego pisała:

Drogi Kazimierzu!

Daruj, ale choćem młodsza, to Cię nieco wyłaję. — Kiedyśmy pierwszy niemiecki list odebrali, i w nim sto talarów, to nam ksiądz proboszcz wytłómaczył, żeś ty jechał do Hamburga za jakiemś drzewem zagranicznem, i za machinami, i że wrócisz niebawem. Ale drugiego tośmy już ledwo pół rozumieli; byłci on wprawdzie po polsku napisany, ale niechże tam licho weźmie twego przyjaciela z takim językiem. Pisze, że ty jeszcze nie jesteś wrócony, bo cię interesowie zatrzymują w Hamburdze, że ale spodziejesz się przyjść za dwóch tygodniów, a wtedy nie będziesz miał nic chybciejszego, jak

twojego błęda znowu dobrze zrobić i matce słusznie długi listeczek nasadzić. — Ale już tego dosyć; mówię Ci, Kaziu, ojciec bo się teraz rzadko śmieje, ale jak ten list słyszał, to mu się wszystkie guziki u kaftana poobrywały, a Tadzio niecnota chciał mi wydrzeć list i zanieść do pana nauczyciela, mówiąc, że twój przyjaciel dostanie na sempiternę za takie bąki niesłychane. Jak przyszło do podarunków, tośmy niemal nie pokładli się od śmiechu. — Ojciec przymierzył ten aksamitny żupan, ale to ani na żyda z takim kolorem jak sałata: ta czerwona krymka z kutasem, to niby sitko do tabaki, a takie pstrokate, że aż źle patrzeć; a co żółte trzewiki na kanwie, toć przecie dobrze wiesz, że ojciec od dzieciństwa jałowiczego bóta jeszcze nie zdjął z nogi; a te trepki toby od razu zostawił w oborze. Kiedyśmy wyciągali cybuch, a ojciec zobaczył ogromne fajczysko, niby u Szmula na arędzie, aż się zmarszczył i zawołał: Co mi po tej fajce? albom ja to Niemiec? Żeby to była tabakiera, toćbyto jeszcze, ale fajka! — I gdyby nie Kościuszko wymalowany na główce, byłby ją zaraz oknem wyrzucił. Więc się ojciec dobrze zmarszczył, i mruczał o tę fajkę. Kapelusz pomarańczowy z fioletowem piórem dla matki, to ci Kaziu nie wiedzieć zkąd się wzięło takie kupno. Jeszcze mantylka jak mantylka, zrobi sobie mama z niej spódnicę, lub ze dwa fartuchy, ale boa to jakby na warszawską elegantkę; jedyne kolczyki na coś się zdadzą; matka mi je obiecała dać kiedyś, — ale nie powiem Ci jeszcze kiedy.

Tadzio szeptał mi ciągle, że jak rodzice pójdą do kościoła, to on weźmie ojca żupan, i przebierze się za gila i pójdzie gwizdać na stodółkę. — Więc my chcieli te wszystkie rzeczy odstąpić arędarzom za mięso, korzenie i inne małe długi; ale się ojciec namyślił, żeby cię nie obrazić, więc zostanie to wszystko do twego przyjazdu. A kiedyż przyjedziesz? choćby na moje zaręczyny! — Ale nie, nic ci nie napiszę więcej za to, żeś nas tak tym listem wymęczył. Nagniewaj się też troszeczkę. Twoje wołki bardzo ładne i dobrze chodzą; ojciec ani pół się tak teraz nie męczy jak dawniej. Dostałam od mamy drugą jałówkę, — to będzie na moje gospodarstwo. Tadzio dobrze się uczy i dostał na popisie w szkole nagrodę; uczy się już po łacinie.

Ojciec Cię błogosławi — tylko nam wracaj niedługo — a pisz często. Ściska Cię serdecznie

Twoja stęskniona siostra
Jadwiga.

Kazimierz to dziwił się, czytając o jakichś drugich stu talarach, o upominkach wcale mu nieznanych, — to śmiał się do rozpuku, gdy sobie sędziwego ojca wystawił w zielonym szlafroku, w żółtych pantoflach, w czerwonej krymce, z półkwartową fają w ustach; spostrzegł się jednak prędko i rzekł list odkładając:

— Panno Wilhelmino, gdybym nie znał ręki mojej matki i siostry, tobym nie uwierzył, że to do mnie pisane.

Tu opowiedział pokrótce treść listu, naturalnie tylko w zarysie i bez dodatków Jadwisi, a panna Wilhelmina uradowana i zawstydzona zarazem, położywszy rękę na ramieniu Kazimierza, rzekła:

— Panie Berdysz, ja panu to wytłómaczę. Kiedy w początku twojej choroby ksiądz Marek przyszedł cię odwiedzić i o okropnym twym przypadku się dowiedział, wszedł tylko do twego pokoju, kiedyś spał, i żeby cię rozmową nie męczyć, odmówił tylko modlitwę, przeżegnał, i ucałowawszy w czoło, wyszedł.

— Poczciwy ksiądz Marek! nigdy mu tego nie zapomnę! — odrzekł Kazimierz.

— Poszłyśmy za nim ja i matka, zaprosiłyśmy go do pokoju, opowiedziały twój czyn bohaterski i ubolewałyśmy nad twoim stanem obecnym. — Wtedy on zaczął mówić o twoich rodzicach, opowiadał jak ty u nich składasz regularnie swoje pieniądze, aby ich kiedyś użyć na założenie własnej pracowni, — napomknął, że właśnie pierwszego Lipca zwykły czas przesyłki nadchodził, i żeś w tych dniach miał pisać do domu. Daruj, żeśmy się domyśliły z matką, co te przesyłki znaczą. — Ty rodziców twych wspierasz, a tyś tu chory, i to z naszej przyczyny. Więc matka cichaczem sto talarów posłała od siebie, i otóż powód owego pierwszego listu.

— Co słyszę? jakżeście wy dobre kochane panie! — rzekł Kazimierz.

— Kiedyś mi dał owe sto talarów darowane od ojca, mówiła dalej panna Wilhelmina, kiedyś kazał odesłać je księdzu Markowi, to mnie chęć wzięła niezmierna własnoręcznie prze-

sylkę tę uskutecznić. Dalej więc polską gramatykę i słownik wzięłam do ręki, jednę z przyjaciółek uprosiłam do pomocy, i skleciłyśmy, jakeśmy umiały list w twoim pięknym języku, arcydzieło, od którego pewnie matkę uszy bolały. Podpisałam się twoim przyjacielem; czy nie gniewasz się o to? Ale drogi panie Kazimierzu, pan nie pojmujesz, jakbym ja rada poznać pańską matkę; więc przemyśliwałam nad tem, jakby z nią stosunki jakie zawiązać, i postanowiłam korzystać z tej sposobności. Posłałam więc i od siebie parę upominków, robótki, którem tobie chciała ofiarować na imieniny posłałam ojcu: dokupiłyśmy z mamą szlafrok i te inne drobnostki, i posłałyśmy do Góry. Czyż mile je aby przyjęto?

Kazimierz cieszył się w duszy, że był zamilczał o wrażeniu, jakie w domu sprawiły niestósowne dary; żeby jej przecież nie zasmucać, uznał je za piękne, podziękował serdecznie w imieniu rodziny, wspomniał o kolczykach dla siostry, o jej zaręczynach, a w końcu dodał:

— Panno Wilhelmino! Pani byłaś mi w tej chorobie aniołem opiekuńczym; bez jej pomocy Bóg wie czybym się był zdołał podnieść z tego łoża boleści, — Bóg wie czybym mógł ujrzeć jeszcze kiedyś ojca, i matkę i rodzinę moją; a oto dziś odbieram nowy dowód twej łaski! Niech ci Pan Bóg odpłaci, — ja wypłacić ci się nie zdołam; służba całego życia nie starczyłaby na to!

Tu panna Wilhelmina zalała się łzami:

— O nie! zawołała, całe życie za długo, — kilka lat tylko żyć z tobą, panie Kazimierzu, a potem chętniebym chciała umrzeć. Ocaliłeś mi życie, więc ono do ciebie należy; czy odrzucisz taką ofiarę?

— Co mówisz? droga panno Wilhelmino! jam, sługa twój, sługa ojca twego ciebie niegodny, nigdy nie wart takiej ofiary! Jakżebym miał odrzucić to, po co mi sięgnąć nie wolno?

To mówiąc ujął jej rękę i z wdzięcznością do ust przycisnął. W tej chwili weszła pani Sztolce, oczy Wilhelminy powiedziały jej wszystko; — rozpłakała się na ten widok i rzekła:

— Kochane dzieci, niech was Bóg błogosławi! — Ale panie Kazimierzu, twoje zdrowie wymaga spokojności, pójdź Wilhelmino uspokój się mój synu! Lekarz pozwolił panu przejechać się cokolwiek; wszak nie pogardzisz naszem towarzystwem? — pojedziemy z tobą!

— Ale już nie pan Kurcer powozić nas będzie! — dodała wesoło Wilhelmina.

Opisać stan duszy Kazimierza, kiedy pierwszy raz wyjechawszy pod Lipami do Zwierzyńca, obaczył słońce, miłą zieleń i kwiaty, usłyszał muzykę ptaszków, nie byłoby łatwą rzeczą. Czuł wzrastające szybko w sobie siły — o los rodziców był spokojny; naprzeciw niego siedziała w powozie ta, co go nazywała synem, i ta co jak anioł z choroby wiodła go do zdrowia, co miłowała jego matkę, co jemu życie swe poświęcić była gotowa. — Więc czuł w sobie ten błogi stan szczęścia, o którem nieraz marzył, czytając jaką powieść rodzimą lub zagraniczną; czuł się zadowolnionym, szczęśliwym.

Zdrowie jego szybko wracało; w kilka dni potem zeszedł już do pracowni. Podwładni z nieudaną przyjęli go radością — przywitali go po swojemu pełnemi kuflami i wesołemi okrzykami. Ale praca tłumiąc uczucia, budziła w nim zarazem rozwagę i pamięć. — Kazimierz powiódł myślą po za siebie, przeleciał szybko czas sześciotygodniowej swej choroby, i nie mógł przy jego końcu znaleść uspokojenia. Dziękował Bogu za zdrowie, wspomniał sobie z wdzięcznością troskliwą opiekę domowników, ale coś mu mówiło, że tę opiekę, ten powrót do zdrowia opłacić będzie musiał może dotkliwszem jeszcze cierpieniem.

W kilka tygodni później, kiedy Kazimierz siedział sam jeden w swoim pokoju i czytał, wszedł do niego pan Kurcer, znajomy wielbiciel panny Wilhelminy, podziękował mu za wyświadczoną przysługę, politował się nad jego chorobą, powinszował powrotu do zdrowia, wreszcie rzekł:

— Ale co widzę? Pan jeszcze teraz zawsze nad książką lub przy pracy!?

— Książka i praca, — odrzekł Kazimierz — dla mnie najmilszem zajęciem.

— He, he! Gadaj pan sobie! Są jeszcze inne rzeczy więcej zajmujące. Znasz je pan dobrze, tylko taisz się z niemi, jakby nikt o tem nie wiedział.

— Nie rozumiem, co pan chcesz przez to powiedzieć.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

Ruchy głównych armii rozpoczęły się dopiero z czerwcem. Mniejsze oddziały zaś stron walczących starały się szkodzić nieprzyjacielowi, gdzie tylko mogły. Z New Yorku wysłano na końcu marca dość znaczny oddział, który miał zniszczyć magazyny amerykańskie w Peekskill. Amerykanie widząc, że nie będą w stanie takowych ocalić, spalili je sami i cofnęli się w góry. W dniu 13 kwietnia wyruszył jen. Howe z New Brunswick, aby uderzyć na jen. Lincoln pod Boundbrook. Ten ostatni ubiegł utraciwszy 60 ludzi i część pakunków.

Gubernator Tryon zaś zniszczył wiele amerykańskich magazynów i spalił miasteczko Danbury. Gdy w Compo chciał wsiadać z oddziałem swojem na okręty, został atakowany przez artyleryę Lamba. W potyczce tej utracili Anglicy 300, Amerykanie 150 ludzi.

W dniu 22 maja 1877 przepłynął pułkownik Meigs na czele 170 ludzi w łodziach cieśninę Long Island, uderzył na Anglików w nocy na 23 maja w Sagg Harbor, spalił 12 statków angielskich, zniszczył magazyny i zabrał 90 jeńców, nie utraciwszy ani jednego człowieka. Podobny czyn wykonał pułkownik Barton. W łodziach przebył pomiędzy okrętami angielskiemi zatokęNarragansett, udał się aż do głównej kwatery angielskiego naczelnika, wodza w Rhode Island (jen. Prescott), schwycił go w łóżku i przewiózł przez zatokę, poczem go odesłał do głównej kwatery Washingtona.

Naczelny wódz wojsk amerykańskich pozostał w leżach zimowych aż do końca maja. W tym czasie kazał żołnierzom szczepić ospę. Armia jego wynosiła na 10,000 żołnierza. W Canadzie zbierał tymczasem jen. Burgoyne korpus armii, aby przez jezioro Champlain przybyć do stanu New York i zająć miejscowości nad rzeką Hudson. Washington nie wiedział czy Howe złączy się z Burgoynem; dla tego posłał silny oddział pod jen. Arnold nad rzekę Delaware, inny silny oddział nad Hudson, a sam udał się do Middlebrook, oddalonego 10 mil od angielskiego obozu w New Brunswick.

Howe przybył w dniu 12 czerwca 1777 roku z New Yorku, ściągnął znaczne oddziały w pobliżu New Brunswick i starał się zniewolić Washingtona do przyjęcia bitwy, co mu się nie udało. Anglicy opuścili następnie New Jersey zupełnie.

W północnej części stanu New York zabrał tymczasem Burgoyne na czele 7000 Anglików, Niemców, Kanadyjczyków i Indyan Crown Point i Ticonderoga; Howe zaś popłynął ze swą flotą i z 18,000 ludźmi ku rzece Delaware. Washington pozostawił wtenczas silny oddział nad rzeką Hudson, a sam udał się z główną armią do Philadelphii, do której właśnie przybył markiz La Fayette. Howe wylądował tymczasem w pobliżu wsi Elkton w Maryland i zwrócił się ku Philadelphii. Washington chciał mu stawić opór, lecz siły jego były za słabe, cofnął się więc kilka mil i stanął pod Chadfood nad rzekę Brandywine. Hessowie pod jen. Knyphausen uderzyli tu na niego w dniu 11 września, podczas gdy Howe i Cornwallis rzucili się na prawe skrzydło amerykańskie, którem dowodził jen. Sullivan. Bitwa trwała cały dzień, a patryoci zostali pobici utraciwszy 1200 ludzi (zabitych, rannych i więźniów); Anglicy utracili 800 ludzi. Washington odpoczął kilka dni w Philadelphii, poczem znów stawił czoło Howe'mu w dniu 16 września, lecz musiał się cofnąć do Reading. Pod Paoli Tavern został w dniu 20 września napadnięty jen. Wayne przez Anglików i utracił 300 ludzi. W dniu 26 września wkroczył Howe do Philadelphii, zkąd

kongres był się udał do Lancaster a później do York.

Z drugiej strony rzeki Delaware znajdowały się dwie fortece, które Anglicy radzi byli posiadać. Na Fort Mercer napadło 2000 Hessów, którzy zostali pobici przez załogę, składającą się z 500 ludzi, i utracili dowódzcę, jen. Donop, i 400 ludzi. Druga forteca Fort Miffern musiała się poddać (16 listopada 1777) a w kilka dni potem opuścili Amerykanie także Fort Mercer.

Washington przekonawszy się, że siła nieprzyjacielska została znacznie osłabioną przez wysłanie oddziałów mających zająć fortece nad rzeką Delaware, postanowił zaatakować obóz ich w Germantown (4 października), lecz patryoci zostali porażeni i utracili tyle ludzi jak pod Brandywine. Anglicy utracili tylko 600 żołnierza. Howe udał się następnie na leże zimowe do Philadelphii, Washington zaś do White March, 14 mil od Philadelphii położonego.

Odwróćmy się na chwilę od tych klęsk i zobaczmy co się tymczasem działo nad wybrzeżem jeziora Champlain i nad rzeką Hudson. Bourgoyne przybył w 10,000 żołnierza w dniu 2 lipca przed fortecę Ticonderoga, w której się znajdował St. Clair z 3000 Amerykanami. St. Clair widząc, iż nie podoła Anglikom cofnął się z fortecy, chcąc się udać do Fort Edward, gdzie się znajdowała główna kwatera jen. Schuyler. Anglicy spostrzegłszy ucieczkę Amerykanów, wysłali za nimi kilka pułków Hessów, którzy dogoniwszy pewną część patryotów pobili ich w dniu 7 lipca 1777. Źle się działo. Amerykanie utracili w przeciągu tygodnia 200 armat, wiele żywności i zasobów wojennych.

Oddział Schuylera liczył tylko 4000 ludzi, był więc za słabym aby się mógł mierzyć ze znaczną siłą Bourgoyna; dla tego też kazał Schuyler zablokować drogi i zniszczyć mosty tak, aby nieprzyjaciela wstrzymać jak najdłużej, sam zaś cofnął się aż do ujścia rzeki Mohawk, gdzie się obwarował. Okopy te jako i Stillwater i Saratoga zostały zbudowane pod dozorem Tadeusza Kościuszki, któremu później osobny rozdział poświęcimy. Schuyler zażądał posiłków, które też dostał, a gdy przybył jen. Gates, aby objąć naczelne dowództwo, znalazł już armię składającą się z 13,000 żołnierza.

Bourgoyne postępował wolnym krokiem tylko naprzód, gdyż Amerykanie różne mu stawiali przeszkody. Wojsko jego było także znużone i żywność zużyta. Oddział wysłany dla zabrania bydła i zasobów nagromadzonych przez Amerykanów został w dniu 16 sierpnia pobity pod Hoosick, w ten sam dzień poniósł porażkę oddział heski. Anglicy utracili w dwóch tych bitwach 1000 ludzi, Amerykanie tylko 100. W tym samym czasie obległ oddział pułkownika St. Leger, składający się po większej części z Indyan warownię Stamix. Oblężenie zostało atoli zniesione, skoro St. Leger się dowiedział, że jen. Arnold przybliża się z posiłkami.

Bourgoyne po klęskach, które poniósł, przebył rzekę Hudson i obwarował się w płaszczyznach i na pagórkach w pobliżu Saratoga, tam, gdzie dziś Schuylerville się znajduje. Jen. Gates zaś zajął pagórki Bemis, na północ od Stillwater (24 mile od Albany) i obwarował się tam także. Jenerał angielski uderzył w dniu 19 września na obóz amerykański. Bitwa, która się z nocą zakończyła, została nierozstrzygniętą. Bourgoyne cofnął się do swego obozu, lecz w kilka dni potem uderzył powtórnie na Amerykanów (7 października), lecz został zmuszony do odwrotu pozostawiając plac walki Amerykanom. W dniu 17 października nie mając więcej jak na 3 dni żywności, nie otrzymując żadnych posiłków, zdradzony przez Indyan, poddał się z całą swoją armią.

Było to świetne zwycięztwo dla patryotów. Wiele armat, 5000 strzelb i znaczna ilość amunicyi wpadła w ich ręce. Wpływ moralny tego wypadku był niezmiernym. W serce patryotów wstąpiła znów otucha, a mocarstwa europejskie poczęły się interesować powstańcami. Francya zwłaszcza zawarła przymierze ze Stanami Zjednoczonemi (6 lutego 1778).

Podczas gdy to się działo w okolicy Saratogi, uwijał się Clinton nad dolnym Hudsonem. Zamiarem jego było złączyć się z Bourgoynem, lecz to mu się nie udało; zajął jednakowoż warownie Clinton i Montgommery i palił i niszczył cały kraj. Dowiedziawszy się o klęsce Bourgoyna wrócił do New Yorku. Howe zaś usiłował kilkakrotnie wywabić Washingtona z obwarowanego jego stanowiska, lecz ten udał się w dniu 11 grudnia na leże zimowe do Valley Forge.

ROZDZIAŁ V.

Czwarty rok walki o niepodległość (1778.)

„Valley Forge" nazwa to znana po całej Ameryce. Straszliwą tu przebyły zimę (1777—1778) wojska amerykańskie. Bez obuwia, bez ubioru drżeli żołnierze w prostych szałasach, podczas gdy armia angielska używała wszystkich wygód wielkiego miasta. Promyk nadziei wstąpił w serca patryotów,

gdy się dowiedzieli, że Francya zawarła ze Stanami Zjednoczonemi przymierze.

Parlament angielski dowiedziawszy się, że Bourgoyne został pobity, począł myśleć o innych środkach, a widząc, że Amerykanie są gotowi się bronić do ostatka, postanowił łagodnością osięgnąć to, czego nie mógł przemocą. Posłał więc do kongresu komisarzy, którzy mieli traktować o warunkach pokoju. Lecz Amerykanie nie chcieli rozpocząć rokowań, pókiby wojska angielskie nie zostały zupełnie cofnięte z Ameryki i niepodległość Stanów Zjednoczonych uznaną.

Francya tymczasem przysłała 12 okrętów liniowych i cztery fregaty dla zablokowania floty angielskiej w rzece Delaware, co im się nie udało, gdyż flota angielska wyjechała z Delaware kilka dni przed przybyciem floty francuzkiej. — Na miejsce Howego został zamianowany naczelnikiem wojsk angielskich jen. Clinton, człowiek o wiele czynniejszy jak poprzednik jego. Ten wyprowadził swe wojsko z Philadelphii i na czele 11,000 ludzi udał się w drogę ku New Yorkowi, co widząc Washington, zniósł swój obóz w Valley Forge i udał się za Anglikami. W dniu 28 czerwca 1778 nareszcie starły się oba wojska. Walka trwała cały dzień, noc tylko położyła jej koniec. Amerykanie spali pod bronią, chcąc nazajutrz rozpocząć bitwę na nowo, lecz Anglicy uszli podczas nocy. Washington nie ścigał ich już więcej, lecz udał się do White Plains, a później do Middleborough nad rzeką Raritan, gdzie się rozłożył obozem. Clinton zebrawszy swe rozbitki popłynął do New Yorku. — W tym samym czasie usiłowali Amerykanie odebrać Anglikom Rhode Island. Jen. Sullivan pobił wprawdzie Anglików pod Quaker Hill, gdzie Amerykanie utracili 202 a Anglicy 220 ludzi, lecz musiał się cofnąć, gdyż Clinton przybył swym braciom na pomoc.

Podczas gdy się to działo nad wybrzeżem, odgrywały się straszliwe sceny w głębi kraju: w dolinach Wyoming, Mohawk, Schoharie i Cherry. Zwolennicy Anglików i Indyanie z po nad rzeki Susquehannah zgromadzili się w Tioga i 1100 z nich pod dowództwem pułkownika Johna Butler, urządzili w dniu 2 lutego wyprawę do pięknej Wyoming doliny w północnej Pennsylvanii, gdzie tylko byli starzy, słabowici młodzieńcy i niewiasty, których mężowie bili się za wolność. Indyanie wyrzezali w tej dolinie setki osób i dzieci, a „rzeź wyomingska" była jedną z najczarniejszych zbrodni popełnionych podczas wojny o niepodległość. Podobnie postępowali Indyanie w innych miejscowościach a zwłaszcza w Cherry dolinie, gdzie w dniu 11 i 12 listopada wzięto także kilkaset familij.

Przy końcu r. 1778 nie posiadali Anglicy wiele więcej miejscowości i twierdz jak w r. 1776. Amerykanie tymczasem wyćwiczyli się w sztuce wojennej, ujednali sobie Francyę i sympatyę Hollandyi i Hiszpanii. Obecnie nastąpiła zmiana w operacyach wojskowych, D'Estaing, admirał francuzki, odpłynął bowiem do wysp zachodnio-indyjskich, aby zaczepić tamtejsze posiadłości angielskie, wskutek czego i flota angielska udała się w tę stronę. Anglicy zdobyli Savannah, stolicę Georgii, którą utrzymywali prawie aż do końca walki (1782).

ROZDZIAŁ VI.

Piąty rok walki o niepodległość (1779.)

Ciemne chmury groziły młodej rzeczypospolitej na początku r. 1779. Finanse były w bardzo kiepskim stanie. Kongres nie wiedział zkąd dostać pieniędzy, dla tego postanowił ograniczyć działania wojskowe na obronie tylko i ukaraniu Indyan i torysów (zwolenników Anglii) nad granicami przebywających.

Powiedzieliśmy już poprzednio, że Anglicy zajęli miasto Savannah w Georgii. Wkrótce potem zajął jen. Prevost fortecę Sunbury, w dniu 9 stycznia 1879, przez co Anglicy stali się panami całego prawie południa. Torysowie pod pułkownikiem Boyd niszczyli wtenczas wschodnią Georgię aż do granic Caroliny. W dniu 14 lutego uderzył na nich amerykański pułkownik. Pickens. Boyd i 70 jego ludzi poległo, 75 zostało wziętych w niewolę. Pickens utracił 38 ludzi.

Lincoln, który był przybył z Massachusetts, aby w stanach południowych utworzyć korpus armii i tak uczynił, nabrał przez zwycięztwo otuchy i wysłał natychmiast jenerała Ashe z 2000 ludźmi, aby wypędził jen. Campbell z Augusta, Ga. Campbell ubiegł wprawdzie, lecz wkrótce nadszedł jen. Prevost, który rozbił cały korpus amerykański. Lincoln utracił czwartą część swej armii.

(Dalszy ciąg nastąpi.)